



Lech Szymanowski

Odkryć czas prowincji



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody, Czeszewo 2009 (fotografia cyfrowa).

Odkryć czas prowincji

Z Lechem Szymanowskim, fotografem z Wągrowca, mistrzem fotografii otworkowej, instruktorem i popularyzатorem sztuki fotograficznej, laureatem wielu konkursów fotograficznych, regionalistą i fotoreporterem – rozmawia Krzysztof Szymoniak

– Umówiliśmy się na tę rozmowę w Wągrowcu, 1 grudnia. A w jednej z pracowni Miejskiego Domu Kultury oglądamy wykonane przez ciebie zdjęcia między innymi po to, aby wspólnie przyjrzeć się twojej profesji w obrębie działań fotograficznych, twojemu dorobkowi oraz drodze, która doprowadziła cię do tego miejsca, czyli do stanowiska etatowego instruktora filmu i fotografii. Na początek – ponieważ działasz na kilku jednocześnie polach – ustalmy, w jakim miejscu tej rozległej przestrzeni umieściłbyś swoją aktywność.

– Na wizytówce mam napisane „fotograf”, w przeciwieństwie do tego co znajduje się w nazwie Związku Polskich Artystów Fotografików. Jest to zabieg w pełni świadomy, ponieważ zacząłem wiele lat temu jako dokumentalista, a i teraz najbliższa jest mi fotografia dokumentalna. Zawodowo natomiast postrzegam siebie przede wszystkim jako animatora kultury. Filmem i fotografią zajmuję się w Wągrowcu od 1987 roku.

– Jak się zostaje etatowym instruktorem fotografii?

– Można powiedzieć, że jestem przykładem oświeconego samouka. A zaczęło się to u mnie dosyć dawno, bo w momencie Pierwszej Komunii Świętej, kiedy dostałem w prezencie książkę Tadeusza Cypriana „Fotografia. Technika i technologia”. Najpierw ją czytałem, a potem zapisałem się, jak wielu moich rówieśników, do szkolnego kółka fotograficznego. Działo się to w Lubawie, między Ostródą a Iławą, w małym miasteczku, na pograniczu Pomorza i Mazowsza, czyli na dawnej Ziemi Chełmińskiej. Przed woj-

ną było to polskie miasto graniczne z mocnymi tradycjami patriotycznymi, a w czasach mojej młodości żywa tam jeszcze była dawna historia, kultywowana przez rdzennych lubawiaków, którzy mówili rozpoznawalną, twardą polszczyzną z domieszką słownictwa niemieckiego. Ciekawi ludzie i ciekawe miejsce, które nieustannie prosiło się o kogoś, kto by to wszystko sfotografował albo sfilmował. Eksponuję dosyć mocno ten wątek historyczny, ponieważ historia także jest moją wielką pasją, a to co robię w fotografii niemal zawsze ociera się o historię, niekiedy nawet głęboko w nią wchodzi.

– Można więc powiedzieć, że doświadczenia z krainy dzieciństwa i wczesnej młodości w pewien sposób ukształtowały twoje postrzeganie świata.

– Jeżeli już o tym mowa, to muszę wspomnieć także o Mikołaju Koperniku, który był w Lubawie, odwiedzając tam swojego przyjaciela, biskupa chełmińskiego, Tiedemana Giese (mecenasa kultury i nauki), z którym popijał wino, rozmawiał o sprawach ważnych i oglądał nocne niebo. Pamiętam, że w szkolnej izbie pamięci przechowywano kawałek drewnianej rury z XVI wieku, pozostałość wodociągu zaprojektowanego i wykonanego przez Kopernika. Dotykałem tej rury i miałem poczucie niemal metafizycznego kontaktu z przeszłością. I w tej właśnie szkole działało kółko fotograficzne, prowadzone przez pana od wufefu. Wielkich spraw tam nas nie nauczono, ale wtedy opanowałem pracę pod powiększalnikiem i naświetlanie odbitek prywatnych zdjęć wufefisty. Jeżeli ktoś przyszedł na zajęcia z własnym, wywołanym już filmem, także mógł



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody II. Wiatrowo 2010 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

poćwiczyć wytwarzanie odbitek. W sumie – tam i wtedy dowiedziałem się, jak w praktyce działa i z czym się wiąże fotografia analogowa. A jeżeli chodzi o magię ciemniową, to mam jeszcze wcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Otóż miałem ciocię, która była niewiele ode mnie starsza. Ona była panienką ze szkoły średniej, a ja miałem mniej niż dziesięć lat i trafiłem u dziadków na moment, kiedy moja ciocia w zaimprovizowanej ciemni z czerwoną żarówką operowała prostym aparatem Druh i prostym powiększalnikiem. Pamiętam więc klimat tej ciemni, kuwety, zapach chemii oraz bakelitowe, praktycznie niezniszczalne szczypcy do wyjmowania odbitek. Te szczypcy i kuwety zresztą odziedziczyłem po niej i nadal używam. A działa się to w Skórzewie pod Poznaniem, skąd pochodziła moja mama i gdzie rok po roku spędzałem u dziadków całe wakacje.

– Krainę młodości, w której dotknąłeś fotografii, opuściłeś pewnie zaraz po maturze.

– Tak. Był to rok 1977. Słusznie użyłeś określenia o dotykaniu fotografii, bo to było w moim przypadku faktycznie tylko dotykanie. Ja w tym samym czasie, w tej swojej krainie młodości, rozwijałem inną pasję, czyli miłość do filmu. Kino bywało moim drugim domem od końca podstawówki do końca studiów. Pierwszym było istniejące do dzisiaj lubawskie kino „Pokój”, a potem kina poznańskie – „Bałtyk”, „Apollo”, „Wilda” i „Rialto”. Teraz, w dobie DVD i kina domowego, nadal oglądam kilka filmów tygodniowo. Z tego też powodu chętnie biorę dyżury i zastępstwa na seanse filmowe w naszym Domu Kultury, jeżeli akurat w ofercie są interesujące produkcje, których jeszcze nie widziałem. Ale wróćmy do fotografii. W młodości jej dotknąłem, ale nie zagłębiałem się w nią specjalnie, ponieważ chciałem zostać artystą malarzem. Kilka lat w czasach licealnych poświęciłem szkicowaniu, rysowaniu i malowaniu z myślą o studiach plastycznych. Wszystkiego uczyłem się sam z braku jakichkolwiek źródeł wiedzy. Czasem tylko ktoś mi coś podpowiedział, gdzieś coś przeczytałem i tak to szło. Ostatecznie, na głębokiej pro-

wincji nie znalazłem dla swoich malarskich zainteresowań żadnego wsparcia i gdy przyszła pora egzaminu wstępnego na ASP, to nawet nie wiedziałem, jak się przygotować egzaminacyjną teczkę z zestawem prac. Ostatecznie więc postawiłem na swoje zainteresowania historyczne i zacząłem na UAM w Poznaniu studiować nauki polityczne. Zamieszkałem u cioci i dziadka w Skórzewie, a chwilę później historia ruszyła z kopyta. Moje studia przypadły na okres powstania Solidarności i wprowadzenia stanu wojennego. Dyplom politologa obroniłem i odebrałem w roku 1982.

– A co z fotografią?

– Od innej ciotki, która uwielbiała podróżować i akurat wróciła z wycieczki do Leningradu, w 1979 roku dostałem kupionego tam przez nią Zenita E. Ten sprzęt nadal jest sprawny, a do dzisiaj dość często używam obiektyw Helios od tego aparatu. Tak więc, mając Zenita, zacząłem fotografować swoją dziewczynę (moją obecną żonę), kolegów na rajdach studenckich oraz tak zwane widoczki. To było takie miłe hobby bez większych ambicji estetycznych. Ponieważ jednak chciałem mieć pełną kontrolę nad materiałem, to kupiłem sobie koreks, powiększalnik i podstawowe wyposażenie ciemni fotograficznej. Pierwszy, jako tako świadomy dokument fotograficzny zrobiłem podczas strajków studenckich, a także podczas gdańskich obchodów pierwszej rocznicy powstania Solidarności, gdzie między innymi byliśmy na jednym z pierwszych seansów „Człowieka z żelaza”. I chociaż negatywy tych zdjęć gdzieś już się zapodziały, to na szczęście przetrwały odbitki, które pokazałem pięć lat temu w Wągrowcu. To są jedyne oryginalne egzemplarze zdjęć ze strajku studenckiego i z rocznicy Solidarności, z udziałem, na przykład, Krystyny Jandy i Jacka Kaczmarskiego, którzy też są na tych zdjęciach. Dzisiaj można je tylko zeskanować i w ten sposób ewentualnie wykorzystywać dla dalszej edycji.

– Te fotografie są poniekąd odbiciem twoich zainteresowań początkującego politologa.



FWP Bajka. Pobierowo 2009 (fotografia cyfrowa).

– Nie ukrywam, że sprawy związane z najnowszą polityką są mi dosyć bliskie. Niekiedy może nawet zbyt bliskie, chociaż od zakończenia studiów polityką, jako taką, już się nie zajmuję. Ale wtedy była to naturalna reakcja zainteresowanego światem młodego człowieka. To, co działo się wokół mnie, dosyć mocno mnie obchodziło, nie przechodziłem więc obok tej rzeczywistości obojętnie. A te zdjęcia są dzisiaj jedynym tego śladem i potwierdzeniem. Jest w tym zestawie zdjęcie, które uważam za pierwsze w pełni udane. Widać na nim księdza Jankowskiego, jak trzyma parasol nad którymś z biskupów. W stanie wojennym robiłem zdjęcia inscenizowane w zaciemnionym pokoju, które były rodzajem mojej prywatnej walki z komuną.

– Jest to interesujący epizod z twoich, dosyć spontanicznie realizowanych, działań początkującego fotoreportera. Towarzyszyła ci wtedy świadomość, że to ma określoną wartość dokumentalną?

– Nie tylko miałem świadomość tego faktu, ale też natchniony tym materiałem wykorzystałem go do zilustrowania mojej pracy magisterskiej. Jej tematem był ten właśnie, przeze mnie sfotografowany w ramach obserwacji uczestniczącej, strajk studencki. Ewenementem zapewne był fakt, który chyba warto teraz przypomnieć, że podczas pisania tej pracy ani godziny nie spędziłem nad literaturą przedmiotu w bibliotece. Całość materiału pochodziła z ulotek, plakatów, rozmów z uczestnikami, materiałów prasowych oraz różnych innych dokumentów, jakie udało mi się wtedy zebrać. Całość zilustrowałem własnymi kadrami fotograficznymi. I co ciekawe, mimo że ówczesny Instytut Nauk Politycznych UAM był niezwykle skomunizowany, to mój promotor, będąc jednocześnie docentem i działaczem partyjnym w Instytucie, nie miał, jak sam twierdził, żadnych wątpliwości co do tego, że moja praca magisterska jest wartościowym dokumentem wycinka ówczesnej rzeczywistości. Dokończyłem ją więc i obroniłem w stanie wojennym. Na marginesie tylko dodam, że dwie trzecie moich kolegów z roku było albo konfidentami SB, albo dziećmi dostojników partyjnych.

– Ustalmy dla porządku rzeczy, jak budowała się wówczas twoja samoświadomość fotograficzna?

– Przez cały okres studiów dużo czytałem (między innymi były to miesięczniki „Fotografia” i „Foto”), oglądałem albumy, wgrzyzałem się w historię fotografii, chodziłem na wystawy do PTF-u, kolegowałem się z chłopakami, którzy także coś tam robili w fotografii, ale nie przypominam sobie, aby któryś z nich wszedł na stałe do branży z oryginalnym pomysłem na własną twórczość fotograficzną. Sporo jednak wtedy rozmawialiśmy na tematy fotograficzne, oglądaliśmy swoje zdjęcia i próbowaliśmy zmagać się z materiałem, nie dysponując ani dobrym sprzętem, ani specjalnymi możliwościami w zakresie prezentacji własnego dorobku. W naszym gronie był tylko jeden kolega, o nazwisku Marek Jurek (ale nie ten polityk), który posiadał bardzo porządnego Canona z automatyką sprzed epoki EOS-ów, o jakim ja wtedy mogłem tylko pomarzyć.

– A w PTF-ie nie próbowałeś wejść w jakieś środowisko młodych zdolnych? Nie wpadło ci do głowy, żeby zbliżyć się do znanych już wtedy profesjonalistów?

– Wtedy jeszcze nie odczuwałem takiej potrzeby, ale kilka lat później zbliżyłem się do Lecha Morawskiego, z którym nawet się kumplowałem. Do dzisiaj mam kilka jego fotografii, w tym plakat z jego słynnym „Wstydem” z odręcznym autografem i dedykacją dla mnie.

– Mówiąc krótko, budowanie twojej świadomości fotograficznej odbywało się powoli, ale systematycznie, poprzez różne formy aktywności warsztatowej, intelektualnej i towarzyskiej.

– Ale także poprzez stały kontakt z arcydziełami światowego kina i poprzez fotograficzną analizę poszczególnych ujęć w wybranych filmach. Takim klasycznym dla mnie przykładem filmu doskonale sfotografowanego jest „Powiększenie” Antonioniego. Jednak tak na poważnie zaczęło się to wszystko u mnie krystalizować jakiś czas po stu-



Suwałki 2005 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

diach, gdy dostałem po Jurku Mianowskim etat instruktora w Domu Kultury. Zanim jednak do tego doszło, musiało minąć jeszcze kilka lat mojego pobytu w Wągrowcu. A zaczęło się od tego, że w rodzinnym mieście mojej żony znaleźliśmy się kilka dni po ślubie. Tutaj znaleźliśmy pracę – ja w szkole, a żona w bibliotece szkolnej – i tutaj też mieliśmy trafić do obiecanego nam służbowego mieszkania. Ale, jak to zwykle bywa, z owego locum nic nie wyszło, bo była to zwyczajna zmyłka urzędników od oświaty. W każdym razie jest rok 1982, my nie mamy gdzie mieszkać, ale do pracy iść trzeba. Na ratunek przychodzi nam ojciec mojej żony, dzięki któremu na dwa lata dostaliśmy jeden pokój w ośrodku w Kobylcu. Przez te dwa lata wykańczaliśmy jeden z segmentów mieszkaniowych szeregowca, które stawała tutejsza spółdzielnia mieszkaniowa. Aby jeszcze bardziej skomplikować nam życie na dorobku, Polska generała Jaruzelskiego wezwała mnie na rok do wojska i wówczas wszystkie sprawy związane z budową spadły na głowę mojej żony. Reasumując – byłem na tyle mocno zaangażowany w codzienną egzystencję, że nie bardzo miałem czas myśleć kreatywnie o fotografii, nie mówiąc już o tworzeniu jakiejś rozbudowanej refleksji okołofotograficznej. Sporo moich zupełnie przyzwoitych zdjęć pochodzi już z okresu, kiedy przyszły na świat nasze dzieci. Ćwiczyłem więc wtedy w miarę świadomie czarno-biały dokument rodzinny, odwołując się niekiedy do znanej mi z lektur tradycji. O tym, że nie było to bezmyślne pstrykanie świądchy zapewne fakt, że z pełnym namysłem najlepsze kadry przenosiłem do albumów, a słabsze przekładałem do kartonów, w których spoczywają do dzisiaj.

– Przed chwilą po raz kolejny wspominałeś o swoich fascynacjach filmem, a ten wątek przewija się w naszej rozmowie od samego początku. Skoro film tak bardzo cię interesował i zajmował, to dlaczego nie zostałeś filmowcem, reżyserem, operatorem?

– Realizowałem się w tej przestrzeni prowadząc Dyskusyjne Kluby Filmowe, popularyzując tę dziedzinę sztuki. Poza tym film jest jednak pracą kolektywną – jeden czo-

wiek filmu nie robi – a ja mam naturę samotnika. Jestem takim „wilkiem stepowym” z kultowej powieści Hermanna Hessego. I jeszcze jedno – po studiach i wojsku, kiedy mogłem spróbować podjąć wysiłek zdawania na filmówkę, miałem, jak patrzę na to dzisiaj, za mało doświadczenia życiowego, żeby brać się poważnie za robienie filmów. Do wszystkich tych spraw dojrzałem dopiero wtedy, kiedy wszedłem na etat instruktorski w Domu Kultury, o czym już wspominałem.

– Zatem podsumujmy: na studiach interesujesz się filmem i fotografią, po studiach pojawiaasz się z żoną w Wągrowcu, tu zaczynasz pracę jako nauczyciel, nadal jednak fotografujesz. Idziesz do wojska, budujesz dom, rodzą się twoje dzieci, znowu fotografujesz i wreszcie trafiasz do wągrowieckiej kultury instytucjonalnej. W którym roku?

– Pracę w Domu Kultury rozpocząłem w roku 1987.

– Mamy więc wyrazistą cezurę – przestajesz myśleć o świecie jak nauczyciel, a zaczynasz myśleć o nim jak rasowy fotograf, czy jak fotografujący politolog?

– Jak coraz lepiej fotografujący prawicowy sceptyk o bardzo wyrazistych poglądach na to, co dzieje wokół mnie. Tak więc zostałem przyjęty na etat instruktora-fotografa do obsługi imprez oraz do prowadzenia Dyskusyjnego Klubu Filmowego i zwolna przeistaczałem się ze szlachetnego amatora w kogoś, kto zaczyna uprawiać fotografię zawodowo, także dla chleba. Moje wcześniejsze doświadczenia fotograficzne i dobrze opanowane podstawy ciemni na pewno ułatwiały mi start w tym fachu. Wkrótce też zacząłem prowadzić grupę fotografującej młodzieży skupionej przy Domu Kultury. A pracować było na czym, bo przejąłem po Jurku Mianowskim bardzo dobrze wyposażoną ciemnię. Dokupiłem do tego zestawu przyzwoitą Praktycę i przez wiele lat działałem jako klasyczny fotograf-dokumentalista. Fotografowałem ile było trzeba oraz ile dusza zapragnie, nie musiałem specjalnie ograniczać się



Wapno 2005 (odbitka żelatynowo-srebrna na papierze barytowym).

z materiałami fotograficznymi, a ciemnia stale była do mojej dyspozycji. Wszystko to było możliwe i działało się za sprawą dyrektora Gustawa Gościńskiego, który od początku życzliwie patrzył na moje działania. To on dał mi szansę fotograficznego samodoskonalenia. Gdyby nie ta praca w Domu Kultury, gdyby nie czas spędzony w ciemni i przez lata doskonalone umiejętności, nigdy pewnie nie wszedłbym na drogę, która doprowadziła mnie do miejsca, w jakim się znajduję.

– Mamy więc rok 1987, 1988 i 1989. Zrekonstruujmy tamten czas w twoim życiu zawodowym. Jakież istotne momenty, zdarzenia, ludzie?

– Pojawia się człowiek o nazwisku Waldek Wylegałski. Prywatnie jest ze Skoków, ale zaczyna pracować w Poznaniu jako zawodowy fotoreporter prasowy. I to on przywozi do Wągrowca wystawę zdjęć dokumentalnych (dokument rodzinny, kolaże itp.) Lecha Morawskiego, który znany był przede wszystkim ze swoich aktów. To, co wtedy pokazał u nas Morawski, bardzo mi się spodobało. Poczujęm, że tego typu myślenie o fotografii jest bliskie moim skłonnościom estetycznym i formalnym. Następną ważną wystawę pokazał sam Waldek, który zrobił wtedy cykl zdjęć w Domu Opieki. Był to mocny, wyrazisty dokument, który także pobudził mnie do refleksji i kazał się zastanowić nad własnymi poczynaniami. Kolejnym ważnym etapem okazał się pierwszy plener fotograficzny, jaki zorganizowałem w Wągrowcu z udziałem Lecha Morawskiego, czyli plener aktu. Zamknęliśmy na sobotę i niedzielę Dom Kultury, a Morawski przywiózł z sobą kilku kolegów, w tym nieżyjącego już Piotra Stasika, oraz modelkę. Fotografowaliśmy więc tę modelkę przez jakieś dwie godziny, a potem prowadziliśmy wielogodzinne rozmowy. I te właśnie rozmowy z Morawskim i Stasikiem dosyć mocno mnie wtedy poustawiały mentalnie w obrębie fotografii. Zrozumiałem, mówiąc krótko, że fotografia niejedno ma imię i może opowiadać różne historie, może opisywać świat na wiele sposobów. Stasik pokazał mi na przykład ciekawe zabiegi formalne, sposoby przetwarzania obra-

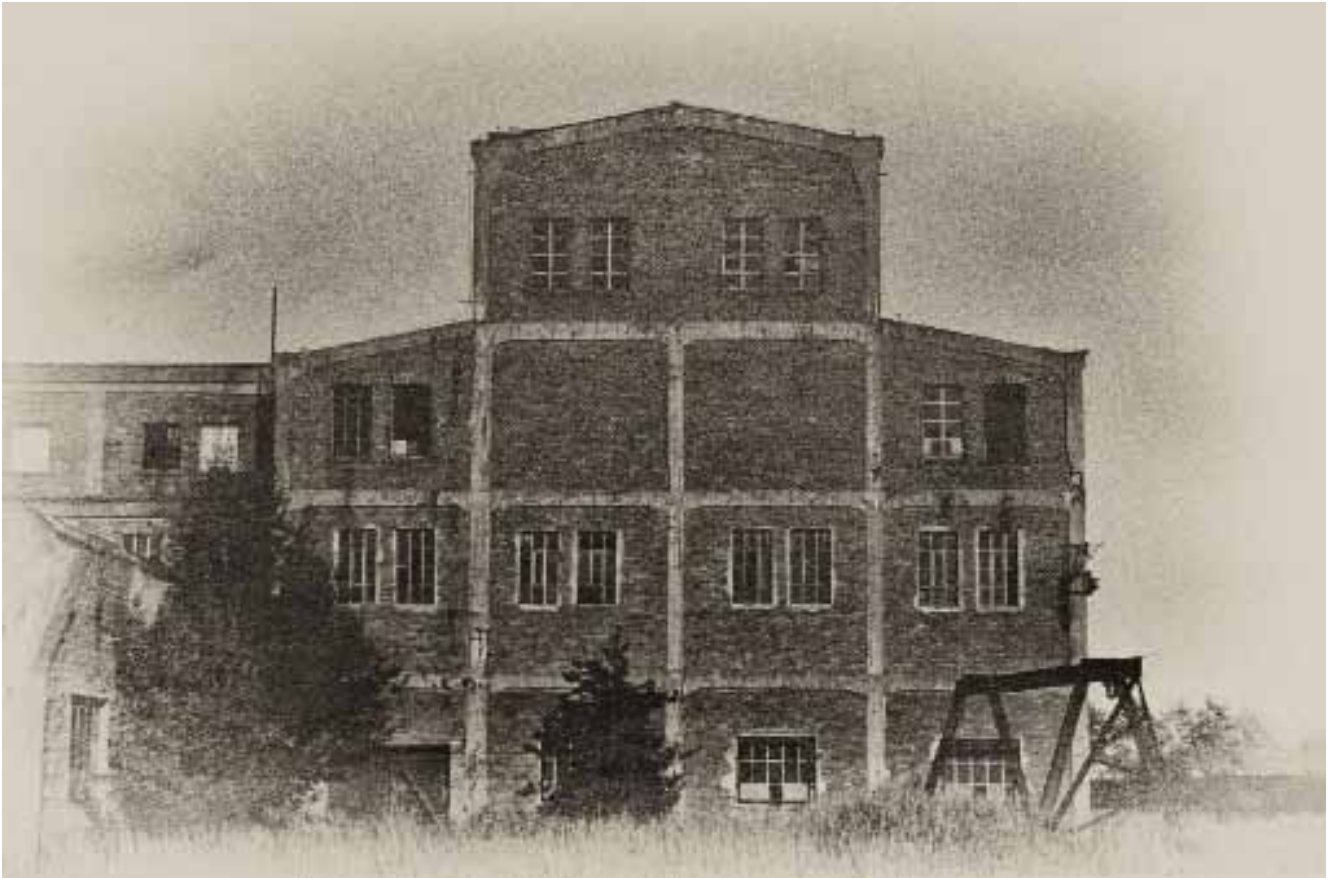
zu jakie wtedy robiło się ręcznie pod powiększalnikiem, a dzisiaj załatwia to komputer i Photoshop.

– Uzyskałeś jednym słowem przywoity, jak na tamte czasy, poziom świadomości fotograficznej, ale też zacząłeś uczyć dzieci i młodzież. Tak zwane kółko fotograficzne jest miejscem, gdzie można wychować uzdolnionego, dobrze rokującego na przyszłość fotografa?

– Ktoś taki pojawia się raz na dziesięć lat. Nie częściej. Zazwyczaj jest to osoba rozsądnie myśląca, obdarzona naturalną wrażliwością fotograficzną, o której potem trafiają do innych zawodów (np. kamerzysta w Polsce, pani archeolog), ale zawsze towarzyszy im aparat fotograficzny. Także moja córka skłania się ku fotografii. A zaczęła od tego, że zaanektowała moją profesjonalną Minoltę i przez wiele lat pracowała na tym sprzęcie. Mój syn z kolei, który wypiera fotografię ze swojego życia, nie potrafi zrobić złego zdjęcia, nawet jeżeli pstryknie gdzieś coś zwykłą „małpką” i przyśle mi to z „pозdrowieniami dla mamy i taty”.

– Zainfekowałaś więc całą rodzinę zamiłowaniem do fotografii. A co na to szanowna małżonka?

– Bez mojej żony tego wszystkiego po prostu by nie było. Moje życie fotograficzne bez niej byłoby niemożliwe. Zazwyczaj jeździmy razem w różne miejsca w Polsce, ale ona ze swoim, a ja ze swoim aparatem. Wisia od zawsze mi towarzyszy i od zawsze mnie wspiera. Pomaga mi także koncepcyjnie rozbudowywać konkursy i imprezy fotograficzne, jeżeli coś sensownego akurat organizuję. Tak było właśnie z ogólnopolskim konkursem „Moja Europa”, który przez pięć lat prowadziłem w Wągrowcu. Tematy do poszczególnych edycji tego konkursu wymyślała właśnie ona. Jak każda normalna kobieta nie jest zadowolona, gdy zbyt wiele godzin popołudniowych lub nocnych spędzam na dyżurach w kinie albo w ciemni, ale poza tym jest bardzo wyrozumiała dla moich pasji. Jest też bezlitosnym i bez-



Wapno 2007 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

względnym krytykiem moich zdjęć. Dzięki temu nie zdarza mi się pokazywać szerszej publiczności rzeczy wyłącznie atrakcyjnych wizualnie, ale poza tym banalnych lub nieco przekombinowanych.

– Po wielu latach, które przepracowałeś w wągrowieckim Domu Kultury, jak oceniasz sens uprawiania zawodu instruktora fotografii?

– Po kilku latach pracy w szkole zacząłem się cofać w tak zwany rozwój ogólny. I to nie było przyjemne doświadczenie. Miałem poczucie zamknięcia w klatce raz ustalonych wartości intelektualnych. Natomiast Dom Kultury jest miejscem, do którego przyjeżdżają ludzie ze świata, z dużych miast z ważnych ośrodków artystycznych. Każda taka wizyta, każdy nowo poznany malarz, piosenkarz, muzyk, poeta czy fotograf, każdy wartościowy człowiek ze świata kultury, to nowe bodźce, to szansa na intelektualny rozwój. Z tego więc powodu uważam pracę w Domu Kultury za bardzo sensowne zajęcie. Poza tym, chcąc być w tej pracy na bieżąco z nowościami artystycznymi i kulturalnymi, trzeba się przemieszczać, odwiedzać inne ośrodki, zaliczać jakieś festiwale, przeglądy i konkursy, jednym słowem przebywać w miejscach, gdzie się dzieją rzeczy ważne oraz interesujące. A zatem – dom kultury ogólnie jest ok, bo praca w nim rozwija oraz poszerza horyzonty.

– Ty, politolog z ciągłymi do historii, stałeś się dzięki tej pracy człowiekiem kultury i sztuki. Ponieważ jednak rozmawiamy o fotografii, interesuje mnie przede wszystkim ta sfera twojego życia zawodowego.

– Ustalmy więc, że ja zdecydowanie oddzielałam to, co robię tutaj w ramach etatu instruktora fotografii, od tego, co robię w fotografii dla siebie, prywatnie, po godzinach pracy. I dlatego to fotografowanie, które jest moim obowiązkiem, moją codzienną pracą na rzecz Domu Kultury, staram się wykonywać najlepiej jak to jest możliwe, ale bez emocjonalnego angażowania się w tę czynność. Wojtek Beszterda w swojej rozmowie powiedział, że nawet, gdy

robił najbardziej banalną dokumentację z imprezy masowej, to zawsze starał się przemyścić do tych zdjęć odrobinę swojej osobowości, nadać im własne piętno, wmontować w nie jakąś cząstkę rozpoznawalnego arcyzmu. Ja robię dokładnie na odwrót – fotografuję tak, żeby na zdjęciach było wszystko co jest ważne, ale mnie tam nie ma. Moja fotografia dokumentalna ma być dobrze oświetlona, dobrze skadrowana i dobrze skomponowana. Ma być czystą informacją, rzetelnym dokumentem, bez jakichkolwiek naleciałości artystycznych, zwanych odjazdami. Reasumując – w pracy jestem solidnym rzemieślnikiem, a sztukę to ja uprawiam po pracy, kiedy nic nie muszę. Żeby jedno i drugie robić dobrze, a nawet coraz lepiej, od pewnego czasu startuję w konkursach fotograficznych, a ewentualne nagrody finansowe przeznaczam przeważnie na zakup sprzętu. To dzięki tym pieniądzom mogłem sobie pozwolić na tanią (co nie znaczy, że złą) lustrzankę cyfrową, obiektyw i lampę. To jest mój prywatny sprzęt (żadnego innego zresztą nie posiadam), ale to dzięki niemu właśnie mogę być dobrym rzemieślnikiem i realizować się zawodowo w ramach obowiązków fotografa dokumentalisty imprez MDK. Do realizowania się w MOJEJ fotografii, ten sprzęt jest mi w zasadzie niepotrzebny.

– Stałeś się więc człowiekiem kultury i sztuki, a dzięki poznaniu po drodze fotografom, którzy przyjeżdżali tu ze świata, rozwinąłeś w sobie jakąś pogłębioną refleksję fotograficzną?

– Zdawało mi się, że tak właśnie jest, ale wkrótce okazało się, że potrzebne mi było jeszcze jedno całe dziesięciolecie, żeby cokolwiek z tego wszystkiego pojąć, żeby się wreszcie czegoś nauczyć i przełożyć to na język własnych faktów fotograficznych. Wtedy w Wągrowcu działały się dwie ważne sprawy. Z jednej strony był to mocny ruch teatralny, zainicjowany działaniami Jana Kaspra tutaj i Jurka Lacha w Żninie, które miałem szczęście i okazję fotografować, zazwyczaj w dosyć trudnych warunkach, bez flesza i po ciemku. Dla mnie była to dobra szkoła. Z drugiej natomiast strony jest to cała dekada lat dziewięćdziesiątych,



Wapno 2010 (pinhole, odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

kiedy pojawiła się prasa lokalna, która potrzebowała fotoreporterów. Z jednym odłamem tej prasy współpracowałem przez wiele lat, dzięki czemu odebrałem w szkole życia kolejną fotograficzną lekcję, bo w stałym reżimie czasowym musiałem dobrze sfotografować imprezę, zjawisko, człowieka, a od czasu do czasu dostarczać redakcji także fotoreportaż. W końcu zacząłem także pisać teksty dziennikarskie, ale wyspecjalizowałem się w „odgrzebywaniu” lokalnej historii, lokalnych inicjatyw i ciekawostek, pokazywaniu interesujących ludzi (bardzo na przykład ujął mnie historią swojego życia Marian Jopp, wieloletni kinooperator) i zapomnianych klubów sportowych (żużel, boks), ratowaniu od zapomnienia tego, co jest solą tej ziemi. Stałem się więc poniekąd fotografującym i piszącym regionalistą, choć moje korzenie, jak wiadomo, sięgają zupełnie innego regionu Polski.

– Jak trafiałeś na te wszystkie tematy, odkrywając przy okazji urok i bogactwo prowincji?

– Źródłem wszelkich inspiracji tego typu była zawsze moja żona, która stąd pochodzi i zna ten powiat jak własną kieszeń. To dzięki niej trafiłem na przykład do Wapnia, miasteczka górniczego, dotkniętego klęską po wielkiej katastrofie. Zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia i do dzisiaj jestem zauroczony Wapnem jako miejscem na ziemi. Staram się więc popularyzować to miejsce poprzez swoją fotografię, ale i poprzez działania fotograficzne oraz warsztaty filmowe z udziałem wielu innych osób z terenu całego kraju. Tak na przykład powstało zdjęcie, które pokazałem podczas edycji 2010 w konkursie „Moja Wielkopolska”. Widać na nim orkiestrę górniczą z Kłodawy na tle zrujnowanej kopalni w Wapnie. Sfotografowałem ją podczas kręcenia filmu „Bohaterowie z Wapna”, którego autorem i reżyserem jest Jurek Jernas, poznański filmowiec. Osobiście fotografuję Wapno, tamtejszą zrujnowaną kopalnię i sławną na cały kraj dziurę w ziemi od dziesięciu lat. Tam przerobiłem wszystkie swoje kolejne wcielenia, a więc ćwiczyłem na tym temacie fotografię analogową, fotografię

cyfrową, fotografię czarno-białą, fotografię kolorową, a także ostatnio fotografię otworkową.

– Wygląda więc na to, że wrosłeś w tę ziemię, jako fotograf i jako regionalista.

– Można tak to nazwać, ale bardziej wrosłem w powiat wągrowiecki, bo na sam Wągrowiec ciągle nie mogę znaleźć sposobu. W sensie fotograficznym. Nie wiem, jak się dobrać obrazem do tego, co w Wągrowcu najciekawsze. Ciągle coś w tej materii robię i ciągle mam uczucie, że to nie to.

– A masz taką potrzebę, żeby się dobrać i pięknie sfotografować?

– Szczerze mówiąc – nie mam. Nie odczuwam też potrzeby, żeby z wągrowieckich zdjęć, które już powstały, zrobić jakąś większą wystawę.

– To czym się przejmujesz. Kiedyś na pewno znajdą się tacy, którzy to zrobią i dobrze, i pięknie.

– Pewnie tak, ale myśląc o tym, uświadamiam sobie, że ja ciągle w Wągrowcu nie czuję się u siebie. Żyję tu, mieszkam, ale ciągle mam poczucie jakiejś dziwnej nieprzystawalności, wyobcowania. Może to wynika z mojego charakteru (z natury jestem samotnikiem, o czym już wspomniałem), z faktu, że nie daję się polubić. A nie daję się polubić, bo jestem zazwyczaj bezkompromisowy w sprawach zasadniczych. Nie chadzam na skróty, wyznaję określony system wartości i trudno się zaprzyjaźniam, ponieważ kilka tego typu podejść okazało się dosyć wyrazistym nieporozumieniem. Dzisiaj, jeżeli chcę w Wągrowcu porozmawiać z kimś sensownie o sztuce, kulturze czy fotografii, to rozmawiam właściwie tylko z moją żoną. Czasami też z moim szefem, czyli panem Włodzimierzem Naumczykiem. A wspominał o tym, bo wydaje się że, jest to wreszcie właściwy człowiek w tym miejscu, osoba, jakiej przez minione dziesięć lat wągrowieckiej kulturze wyraźnie brakowało. Z kolegami foto-



Wapno 2010 (fotografia cyfrowa).

grafami rozmawiam w zasadzie tylko o fotografii i fotografowaniu. A jeżeli już o tym mowa, to muszę podkreślić i to, że mój kłopot z Wągrowcem polega także na niemożności zamknięcia się w obrębie rzeczywistości jednego miasta. Bardziej od obiektów, które znajdują się tylko w Wągrowcu, interesują mnie różne obiekty z tej samej klasy, które znajdują się w wielu miejscach kraju i świata. Na tej samej zasadzie lubię dokumentować konkretne zjawiska występujące na przykład w Wągrowcu, ale i w każdym innym zakątku tej części Europy.

– Podobnie myśli Boguś Biegowski, który od lat fotografuje wieże wodociągowe.

– On podchodzi do tego bardzo solidnie, bo wie na przykład, że tych wież jest w Polsce ponad osiemset i systematycznie je dokumentuje aparatem wielkoformatowym. Sam nie widzę na razie niczego takiego wokół siebie, czyli w Wągrowcu, co mogłoby rozpocząć jakiś interesujący cykl. Zwłaszcza, że takie cykle już rozwijam – „Kamienne kręgi”, „Parki i ogrody”, „Wapno”, „Wielkopolska jest symetryczna i płaska”.

– Cofnijmy się jednak do roku 2000, kiedy to w twoim życiu prowincjonalnego fotografa dzieją się rzeczy interesujące i ważne.

– No właśnie. Miałem więc za sobą współpracę z prasą lokalną, ale od początku lat 90. zaczęły pojawiać się komputery. A jak komputery, to projektowanie i programy graficzne i różne inne. Także początki Internetu. Ten świat dosyć mocno oderwał mnie od fotografii. Co ważne – w roku 1997 reaktywaliśmy działalność Dyskusyjnego Klubu Filmowego (pod nazwą Elitarny Klub Filmowy „Marlon”), który działał przy Domu Kultury, ale poza strukturami tej placówki. Klub i klubowicze rozwinęli skrzydła na tyle mocno, że w pewnym momencie robiliśmy w ramach EKF-u więcej niż cały Dom Kultury, a więc nie tylko pokazy filmów, ale także spotkania literackie czy spektakle kabaretowe. Ponieważ ówczesna

pani dyrektor poczuła się naszymi działaniami nieco zagrożona, któregoś dnia, aby nie wchodzić w otwarty konflikt z administracją, po dwóch latach działalności sami się rozwiązaliśmy. Zrobiliśmy to bez specjalnego żalu, bo nasza formuła EKF-u zwolna się wyczerpywała, a trudno działać mając za sobą już tylko ścianę i niechęć dyrekcji. W ten sposób w moim życiu zawodowym i artystycznym pojawiła się wolna przestrzeń, zwana też dziurą, której nie bardzo było czym zapełnić. Wtedy, a był to rok 2002, właśnie moja żona zaproponowała mi powrót do fotografii. Jedne drzwi się zamknęły, otwieram więc drugie. Ogłosiłem nabór do Klubu Fotograficznego. Pojawiła się kilkunastoosobowa grupa licealistek oraz różnego kalibru miejscowych artystów-amatorów i zaczęliśmy pracować. Dzisiaj mogę powiedzieć, że wszyscy, włącznie ze mną, byliśmy dosyć radosną „zbieraniną” osób niespecjalnie świadomych tego, za co się biorą. Ruszyliśmy w styczniu, a już w kwietniu pojawiło się od Władka Nielipińskiego, czyli z WBPiCAK, zaproszenie na warsztaty fotograficzne do Tarnowa Podgórnego, gdzie pojawił się Janusz Nowacki. Dzięki tym warsztatom poznałem wreszcie porządnego, uznanego fotografa, a potem był plener w Margoninie, były wspólne wyjazdy na wystawy fotograficzne i w ten sposób, krok za krokiem, zacząłem wchodzić w środowisko ludzi, dla których wspólnym punktem odniesienia była fotografia.

– Działania animacyjne Władka Nielipińskiego, który tę tradycję przejął po Januszu Nowackim, pokazują na twoim przykładzie swoją niepodważalną wartość.

– Wtedy to było dla nas raczej dosyć oczywiste, że ktoś to animuje, ktoś zaprasza i stwarza określone możliwości. My stąd jeździliśmy w różne miejsca, na przykład do Środy Wielkopolskiej, na spotkania z tamtejszym środowiskiem, a z kolei różni pasjonaci fotografii z innych miejsc Wielkopolski przyjeżdżali także do nas. I tak to się zaczęło – w moim przypadku był to pierwszy systematyczny i poważny kontakt z fotografią Poznania i Wielkopolski. Działo się to w latach 2002-2004. Sam też zacząłem się wreszcie



Wągrowiec 2004 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

rozwijać i pojmować głębszy sens uprawiania fotografii. Bardzo mi się wtedy przydały wszystkie wcześniejsze doświadczenia fotograficzne, bo mogłem od razu wejść na w miarę przyzwoity poziom sprawności warsztatowej. Pewnych rzeczy nie musiałem się już uczyć, ja to po prostu miałem opanowane. Zdjęcia jeszcze były naiwne, jeszcze miałem sporo do przemyślenia, ale w głowie już zaczęło się coś układać, już zaczął się marsz we właściwym kierunku. No i te nieocenione kontakty z ludźmi, bez których znowu byłbym odcięty od świata samotnym wilkiem. Nigdy nie zapomnę na przykład spotkań i rozmów z Erykiem Zjeżdżałą, którego wystawę udało nam się tutaj powiesić w dosyć siermiężnych jeszcze warunkach. Ale to było dla mnie naprawdę ważne spotkanie. Pamiętam, że nasz wągrowiecki konkurs „Moja Europa” (o którym już chyba w tej rozmowie napomknąłem) zorganizowałem pod wpływem wystawy „Moja Ameryka” Wojciecha Zawadzkiego, którą w Tarnowie pokazał nam Janusz Nowacki. Na pierwszą edycję tego konkursu przyszło ponad dwieście prac, a wygrał ją Filip Springer, bardzo rozsądny młody człowiek, którego powinieneś znać i pamiętać.

– Owszem. Znam i pamiętam. Ale pamiętam i to, że przedłużeniem kolejnych edycji tego konkursu były cenione w środowisku warsztaty fotograficzne.

– Dla mnie to była fantastyczna przygoda, bo na te warsztaty, oprócz młodzieży konkursowej, przyjeżdżali znani wielkopolscy fotografowie, że wymienię tylko Eryka Zjeżdżałą, Janusza Nowackiego, Piotra Chojnackiego, Jurka Wierzbickiego. Zapraszałem też do nas znanych uczestników życia fotograficznego spoza Wielkopolski, w tym na przykład Witka Englendera – twórcę i organizatora Festiwalu Fotografii Otworkowej OFFO z Jastrzębia. Z tego narodziły się rozliczne przyjaźnie fotograficzne, a przy okazji wychowaliśmy sobie w Wągrowcu publiczność dla tego typu działań i przedsięwzięć.

– Rozwinąłeś więc skrzydła jako animator i propagator kultury fotograficznej, a co osobiście wyniosłeś

z tamtej, zamkniętej już epoki? Jak to wpłynęło na twój rozwój?

– Wyniosłem przede wszystkim poczucie, że zacząłem coś z tego wszystkiego rozumieć, że stawałem się innym człowiekiem. A stawałem się nim głównie pod wpływem kolejnych spotkań i rozmów z Erykiem Zjeżdżałą. Przejąłem po nim pewien wewnętrzny spokój i sposób myślenia o fotografii. To on mi zaszczylił szacunek dla zdjęć i świadomość perfekcji warsztatowej. Do dzisiaj pamiętam i realizuję jego wskazówki w rodzaju „zdjęcie nie musi być duże”. Podobnie o swojej pracy myślał także Janusz Nowacki, który swoje fotografie prezentował w rękawiczkach, aby nie zostawiać śladów na odbitkach. Więc i ta znajomość jest dla mnie bardzo cenna. Można powiedzieć, że w tamtych latach szczęśliwie poodmykały mi się w głowie różne szuflady i kanały myślenia, dzięki czemu nigdy już nie wróciłem do poziomu szlachetnego, ale nieświadomego swych celów amatora. Konkurs „Moja Europa” prowadziłem do roku 2007, a niemal równoległe zacząłem zgłębiać to, co działo się wtedy w polskiej fotografii. Szczególnie bliscy estetycznie byli mi, i są do dzisiaj, artyści z kręgu tak zwanej „fotografii elementarnej”. Rozszerzałem swoje horyzonty, ale ciągle czułem w tej swojej fotografii jakąś słabość techniczną. Wreszcie okazało się, że to jest wina sprzętu, na co powinienem być wpaść dużo wcześniej. Zacząłem więc od wymiany obiektywów w powiększalniku. Niemal od razu te same negatywy nabrały nowego wyrazu, a uzyskane z nich odbitki stały się bardzo porządnymi fotografiami. Patrząc na to doszedłem do wniosku, że musiałbym teraz wyjąć z pudeł wszystkie swoje wcześniejsze negatywy i zacząć kadr po kadrze od nowa je rzucić na papier i to najlepiej w porządnym, wystawowym formacie. Wcześniejsze odbitki były tylko zdjęciami bez wartości, a ja zacząłem odczuwać poziom świadomej fotografii. Ale, jak to zwykle z poprawianiem historii bywa, okazało się, że tamte negatywy na współczesnych papierach nie siedzą zbyt dobrze, bo stają się zbyt kontrastowe. Musiałem się więc nieźle nagłowić, aby coś z tej materii wyciągnąć, a przy okazji nie zepsuć zbyt wiele.



Durowo k. Wągrowca, Grobowiec Keglów. Fotografia otworkowa wykonana specjalnie na World Pinhole Day 2009 (pinhole, fotografia żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym, skan z oryginału).

– I dałeś radę?

– Trochę mi w tym pomógł pewien zbieg okoliczności. Otóż zupełnie przypadkowo, przez koleżankę mojej żony, poznałem wtedy pana Stanisława Jankowskiego, który przekazał mi całe kartony starych papierów fotograficznych, stare podręczniki, sporo literatury fotograficznej, w tym pierwsze polskie wydanie książki Susan Sontag „O fotografii”. Okazało się, że w ten sposób otrzymałem doskonałe materiały do działań z młodzieżą, ale i do własnych prób ze starymi negatywami. W ten sposób osiągnąłem efekt, którego wcześniej mi brakowało. Gdy papiery od pana Stanisława się skończyły, zacząłem na Allegro szukać starych papierów, aby osiągać efekty, na których mi zależało. Może nie od razu takie, jakie osiąga Boguś Biegowski, czyli „szare na szarym”, ale jestem zainteresowany zdecydowanie słabszą kontrastowością od tej, jaką dają papiery współczesne. Obecnie powoli dochodzę do poziomu sprawności oraz do efektów, na jakich mi zależy. Ta nasza rozmowa odbywa się niemal dokładnie w chwili, gdy moje fotograficzne doświadczenie obejmuje wyrazista cezura – zamykam pewien etap, włącznie z fotografią postindustrialną. Przestał mnie inspirować rozpad, rozkład i brzydota, coraz odważniej zwracam się w stronę natury. Wchodzę w nowe obszary, których reprezentantem jest cykl „Parki i ogrody”. Co ciekawe, parki i ogrody zaczynałem fotografować cyfrowo, ale teraz wracam w te same miejsca z aparatem analogowym. Wracam tam z pełną świadomością założeń estetycznych i wyznaczonego sobie celu

– Skoro jest cezura, to pokażemy się o małe podsumowanie. Po wielu latach najróżniejszych doświadczeń wkraczasz świadomie w okres poszukiwań formalnych. Interesuje cię kadr, obrazowanie, technologia analogowa, która wypiera twoje wcześniejsze doświadczenia w obrębie fotografii cyfrowej.

– Fotografii cyfrowej nigdy nie traktowałem zbyt poważnie. Owszem, kompaktem cyfrowym zrobiłem kilka

niezłych zdjęć, które wygrały nawet jakieś konkursy, ale cyfra była dla mnie przede wszystkim rodzajem notatnika, łatwego dla mnie przede wszystkim rodzajem notatnika, łatwego w obsłudze i pojemnego. Przy okazji wykorzystywałem cyfrę do realizowanych na własny użytek slajdshow'ów, które dzisiaj nazywamy fotocastami, czyli pokazów zdjęć z jednoczesnym eksponowaniem muzyki. Jeden z najciekawszych, jak sądzę, moich fotocastów został stworzony na podkładach piosenek Krzysztofa „Grabarza” Grabowskiego i Muńka Staszczyka, od których mam zgodę na wykorzystanie tych numerów. W każdym razie obraz w połączeniu z muzyką działa inaczej niż sam obraz i sama muzyka osobno. Kiedy podczas warsztatów w 2007 roku pokazałem te swoje projekty Piotrowi Chojnackiemu i Januszowi Nowackiemu, to oni nie mieli zdania na ten temat, nie wiedzieli w pierwszej chwili, co z tym zrobić, jak to zdefiniować. Uznali nawet, że jest w tym wszystkim za dużo obrazów, ale nie byli w stanie wskazać tego, co miałbym wyciąć. W końcu zostało tak jak było, ale dzisiaj jest to już sprawa dla mnie zamknięta. W ostatnim tego typu pokazie multimedialnym wykorzystałem najlepsze swoje zdjęcia otworkowe, a całość nazwałem „Czas zapisany”. Tym samym odstawiłem na jakiś czas pinhole i fotocasty.

– Można powiedzieć, że jesteś dzisiaj świadomym fotografem analogowym, który eksperymentuje z odczynnikami, z chemią po to, aby uzyskać pożądaną jakość obrazu. Spróbuj to rozszerzyć.

– Interesuje mnie jakość obrazu i prostota formalna. To, co pokazuję na swoich odbitkach, ma być proste i czyste, bez nadmiarowych elementów, które próbują wcisnąć się do obrazu. Gdybym pracował ciasnym kadrem, to sprawa byłaby w miarę łatwa do przeprowadzenia – na zdjęciu jest to, co ma być i nic więcej. Ja jednak muszę mieć w swoich fotografiach przestrzeń, a obiekt fotografowany umieszczam w jakimś kontekście. Jest to dla mnie ważny, świadomy zabieg. W efekcie spada mi tak zwana czystość obrazu, ale bez tego kontekstu moje obrazy byłyby niepełne.



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody. Wiatrowo 2010 (pinhole, odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

– Pokazałeś mi odbitki, w których określony efekt kolorystyczny (monochromatyczny) osiągasz poprzez poddanie odbitek dodatkowej kąpeli w różnych substancjach „niefotograficznych”. Chodzi w tym o jakąś nową wartość estetyczną?

– Tonowanie obrazów stosuję tylko i wyłącznie w tych momentach, kiedy chcę świadomie na przykład postarzyć dane zdjęcie, albo sprawić, aby oglądający miał wrażenie obcowania z innym wymiarem, innym światem, inną rzeczywistością. Robię to także wtedy, gdy na zdjęciu wychodzi mi za duży kontrast, albo gdy pojawia się na nim zbyt wiele bieli, zwłaszcza gdy ta biel jest denerwująco krzykliwa. Do tonowania najczęściej używam naturalnych barwników pochodzenia roślinnego. O tonowaniu odbitek herbatą zapewne słyszeli wszyscy. Ja stosuję jeszcze kilka własnych wynalazków.

– Ci, którzy nigdy nie pracowali w ciemni chemicznej, powinni teraz usłyszeć, że te zabiegi, o których tu mowa, są czymś, co zwykle się nazywało technikami szlachetnymi. A jeżeli jeszcze dochodzi do tego świadome ich stosowanie, to chyba mamy do czynienia z coraz rzadszym odwoływaniem się do tradycji.

– Nie ja jeden to robię. Podobne zabiegi, z wielkim zresztą powodzeniem, stosuje Boguś Biegowski. A o sobie mogę tylko powiedzieć, że jestem zaledwie na początku tej drogi. Ja cały czas uczę się nowych rzeczy, bo moim celem jest opanowanie technik najstarszych spośród tych, jakie są w naszym zasięgu. Chcę w ten sposób zejść w historię fotografii najgłębiej, jak to jest możliwe. Odczynniki są w zasięgu moich możliwości, receptury są dostępne w starych podręcznikach, więc w zasadzie powinno mi się udać. Jediną barierą mogą być tylko finanse, bo to wszystko jest coraz droższe.

– A do czego ci to wszystko jest potrzebne?

– Nie ma w tym jakiegoś wielkiego celu, jakiejś wielkiej idei. Niekiedy mam wrażenie, że pracując w ciemni mogę

się wyciszyć, uspokoić, zastanowić nad wieloma sprawami. Świat fotografii cyfrowej stał się nieznośnie krzykliwy, a ja potrzebuję spokoju. Fotografia cyfrowa jest za łatwa, za szybka, niemal natychmiastowa, a to jakoś mnie nie pociąga. Ona ułatwia mi życie, kiedy dokumentuję imprezy w Domu Kultury, ale już zdjęcia rodzinne robię średnim formatem albo małoobrazkowym analogiem.

– Jako dorosły facet wróciłeś do ciemni, ponieważ zaczynałeś w niej jako dziecko, czy może z innego powodu?

– Ponieważ uważam, że porządne zdjęcie trzeba wziąć do ręki, a nie wyświetlać je na ekranie monitora. Ważne jest i to, że stary papier barytowy po latach najwyraźniej szlachetnieje, a uzyskany na nim obraz subtelnie różni się od wyostrzonej cyfry, nie jest arogancki, beczelny, agresywny.

– A twoi młodzi uczniowie z kółka fotograficznego chcą tego słuchać? Chcą się w to bawić?

– O dziwo, tak. Oczywiście dzieci i młodzież zapisują się wyłącznie na kurs fotografii cyfrowej, ale gdzieś tak w okolicach trzecich zajęć zaczynam ich indoktrynować 170-letnią historią fotografii. Potem namawiam, żeby odszukali w swoich rodzinach jakieś działające stare aparaty fotograficzne, a gdy już z nimi przychodzą, to dostają rolkę filmu z dwudziestoma klatkami i mają tydzień na zrobienie zdjęć. Kiedy nastaje moment rytualnego wywołania filmów, jest to dla nich rodzaj święta, moment wtajemniczenia w świat fotograficznej magii. I właśnie wczoraj mieliśmy takie święto z wywołaniem pierwszych filmów. Za dwa tygodnie etap następny, czyli odbitki. Mamy więc piętnaście negatywów, bo każdy dostał własny film. Do końca stycznia proces ciemniowy powinien się zakończyć. Potem, w czasie ferii zimowych, przerobię z nimi fotografię otworkową, a potem już tylko wystawa. Śmiem twierdzić, że będzie to dla nich udana przygoda, którą zapamiętają być może na długie lata.



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody. Objezierze 2009 (fotografia cyfrowa).

– Dzieci zazwyczaj motywuje do działania szczerą pasją. Twoi uczniowie jednak dorastają, zaczynają inaczej postrzegać swoją fotograficzną przygodę i...?

– I kiedy mają już dwadzieścia lat, a jeżeli jeszcze przy okazji zdobędą nagrodę w jakimś konkursie, to zwyczajnie przewraca im się w głowie. Kończy się szczerą miłość do fotografii, a zaczyna myślenie o sukcesie finansowym i karierze artystycznej. Na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy nadal chcą się uczyć rzemiosła i mają krytyczny stosunek do własnych osiągnięć. Pozostali – we własnym mniemaniu – są już mądrzy i wiedzą na temat fotografii wystarczająco wiele, aby spokojnie przestać przejmować się tym, co ewentualnie miałbym im jeszcze do powiedzenia. Nie tak dawno rozstałem się z taką grupą młodych-zdolnych, którzy faktycznie byli już dla mnie za starzy. Poza tym za mało ich chwaliłem, a w najlepszej wierze wskazywałem im błędy, które nadal popełniają. Doszli więc do wniosku, że wolą dalej rozwijać się bez mojego udziału, a efekty tego „rozwoju” mogę dzisiaj oglądać na popularnym portalu „plfoto.com”.

– Podsumowując twoje dochodzenie do miejsca, w którym znajdujesz się obecnie, trzeba chyba wspomnieć o publikacjach, wystawach, konkursach i blogu, który prowadzisz w Internecie.

– Roli Internetu bym nie przeceniał. Owszem, mam w sieci swojego bloga, ale rozwijam go ze świadomością, że czyta go niewiele osób, poza rzecz jasną moją żoną, Bogusiem Biegowskim, może Władkiem Nielipińskim, tobą i paroma jeszcze znajomymi. Znam badania robione w tej kwestii, a z badań tych wynika, że nikt nie czyta blogów, choć wszyscy je piszą. Patrząc na to poważnie, mogę tylko powiedzieć, że strona internetowa, którą założyłem, i która miała być czymś w rodzaju portfolio, w sumie nie spełniła moich oczekiwań. Czasem umieszczam na niej jakieś przemyślenia, ale w sumie nie jestem w tej materii zbyt systematyczny.

– Mówiąc o konkursach fotograficznych, powiedz mi, że traktujesz je głównie jako ewentualne źródło pieniędzy na nowy sprzęt. A jakieś inne radości wynikają dla ciebie z udziału w konkursach?

– Przede wszystkim lubię uczestniczyć w wernisażach, bo mogę tam spotkać znajomych lub zaprzyjaźnionych fotografów, mogę z każdym z nich zamienić chociaż kilka zdań. A ten rodzaj niespiesznej rozmowy akurat bardzo sobie cenię. Tak więc dla mnie wernisaże pokonkursowe są niekiedy jedyną okazją spotkania fajnych ludzi (niektórych widuję raz na kilka lat), jedyną okazją pokazania się w środowisku. Ze mną jest jeszcze tak, że absolutną większość swoich zdjęć zrobiłem do szuflady, więc konkursy są okazją, aby raz po raz coś z tej szuflady wyjąć i pokazać, są miłą szansą na to, że ktoś je zauważy i doceni.

– A zdarzyło ci się kiedykolwiek w przeszłości, że byłeś mile zaskoczony wysoką oceną, z jaką spotkały się twoje fotografie?

– Tak stało się w zeszłym roku w związku z moim cyklem „Parki i ogrody”, który wysłałem do Poznania na konkurs „Moja Wielkopolska”. To były pierwsze zdjęcia z tego cyklu, miałem więc opory, aby to pokazywać, a tu się okazało, że Piotr Chojnacki dojrzał w nich coś, co jego zdaniem zasługiwało na pierwszą nagrodę. Z kolei w tym roku zaskoczyłem sam siebie tym, jak sobie poradziły moje zdjęcia na konkursie „Wielkopolska Press Photo”. Ponieważ nie uważam się za wytrawnego fotografa prasowego, to znalezienie się w towarzystwie Łukasza Cynalewskiego, Macieja Nowaczka i Tomka Kamińskiego jest bardzo miłym zaskoczeniem.

– Te drobne, ale mile zaskoczenia utwierdziły cię w przekonaniu, że warto było kiedyś postawić na fotografię?

– No tak, moja przygoda z fotografią przynosi wymierne efekty, ale przychodzi też refleksja połączona z pytaniem – co dalej? Nie chciałbym przeżywać kiedyś tego, co spo-



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody. Zielonka, Puszcza Zielonka 2009 (fotografia cyfrowa).

tkła Pawła Pierścińskiego, który spalił w piecyku kilkaset negatywów, bo w pewnym momencie okazało się, że one nikomu nie są potrzebne. A faktem jest, że też niekiedy zastanawiam się, co zrobić ze swoim archiwum, z tymi wszystkimi negatywami? Spakować je do kartonowego pudła, zamknąć w pancерnej skrzynce i zakopać pod jabłonką w ogrodzie? Tylko po co? Owszem archiwizuję poszczególne zdjęcia w sensie dokumentalnym. One są dokładnie opisane, żeby było wiadomo, gdzie i kiedy zostały zrobione, i to ma sens, ale jaki ostatecznie los czeka moje negatywy i moje odbitki – nie mam, szczerze mówiąc, pojęcia.

– A jak odnosisz się do zdjęć z czasów, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie, a które na przykład nagle wpadają ci w ręce?

– Odnoszę się do takich zdjęć z wielką rewerencją. Jakiś czas temu otrzymałem od mojej, nieżyjącej już, koleżanki paczkę szklanych negatywów, których pochodzenia nikt nie zna, bo nie zostały opisane. Absolutne anonimy. Ja te negatywy stykowo odbiłem, a potem jeszcze powiększyłem i papiery przekazałem do węgrowskiego Muzeum. Szkiełka zachowałem dla siebie, bo one są w tym wszystkim najcenniejsze. Wiem, że na pewno kiedyś je jeszcze do czegoś wykorzystam, oczywiście w sensie fotograficznym. Z oglądu wiadomo niemal na pewno, że te negatywy pochodzą sprzed II wojny światowej i niemal na pewno z Wągrowca. Są to najprawdopodobniej zdjęcia jednej rodziny, ponieważ twarze osób uwiecznionych na tych zdjęciach są do siebie podobne.

– Planujesz w najbliższym czasie jakąś własną, retrospektywną wystawę swoich fotografii?

– Nie wiem, czy to ma sens, wolałbym pokazać poszczególne cykle. Retrospektywy robi się po śmierci artysty, albo u schyłku życia, ja się jeszcze z tym światem nie żegnam.

– To może jakaś książka? Album z wyborem najlepszych fotografii?

– To już chętniej. Ale też nie wszystko. Najprędzej, co nie znaczy, że teraz, byłbym w stanie pokazać „Parki i ogrody” bo ten zestaw wydaje mi się najrówniejszy, najciekawszy i fotograficznie najbardziej dla mnie satysfakcjonujący. A ukończony zapewne nigdy nie zostanie.

– Jak wybierasz swoje kadry do takiego cyklu?

– Bez zbędnych obrazów, które niczego nie wnoszą do całości. Kiedy coś fotografuję, to zazwyczaj już wiem, obok jakiego innego zdjęcia pojawi się to, które akurat mam w obiektywie. No i bez jakichś formalnych kombinacji – a to znaczy, że mój obiekt jest na wprost, ja mam obiektyw 50 mm i nie wymyślam fajerwerków. W ten sposób próbuję nawiązywać do starej, tradycyjnej fotografii wielkoformatowej, która powstawała w takich właśnie okolicznościach. W efekcie niektóre zdjęcia mogą zahaczać o klasyczny piktorializm, ale czy to jest jakiś tam wielki grzech? Mam nadzieję, że cykl „Parki i ogrody”, jako całość, mimo wszystko się obroni. W każdym razie, jeżeli jakieś kadry wychodzą mi za ładnie, za elegancko, to wtedy przypominam sobie słowa Piotra Chojnackiego, że coś jest w danej fotografii za proste, i wtedy próbuję te kadry jakoś złamać, przekreślić, uszlachetnić brzydota.

– Zacytujmy zatem drobny fragment twojego bloga zatytułowanego „Photodocument & pinhole”. Jest on o tyle ważny, że dotyczy spraw, o których właśnie rozmawiamy: Dzisiaj kilka pierwszych zdjęć z nowego (a w pewnym sensie kontynuacji) cyklu „Parki i ogrody”. Nowego, bo te zdjęcia są w 100% analogowe, małoobrazkowe, a w najbliższej przyszłości będą też i średnioformatowe. Poprzednie „Parki i ogrody” z 2009 wykonane były cyfrowo. Niestety, wielokrotne próby osiągnięcia zadowolających wydruków okazały się porażką. Projekt z założenia jest czarno-biały. Wydruki przy każdej zmianie papieru miały inny odcień, nigdy nie były po prostu „szare”. W końcu dałem sobie spokój i robię cały projekt właściwie od nowa. Technika analogowa pozwala mi panować nad całością przed-



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody. Patrycja, Wągrowiec 2009 (fotografia cyfrowa).

sięwzięcia, osiągnięciem przewidywalnych rezultatów. Powiększenia „parków” – 30x40 cm, na ponad 20-letnim papierze z bydgoskiego fotonu – powoli wynurzają się z mojej ciemni. Ostatnie tegoroczne zdjęcia cyklu robiłem „w okolicznościach” pierwszego śniegu. Mam więc czym się zająć przez najbliższe kilka miesięcy. Równoległe powiększam, do formatu 30x40, wykonnane w lecie kamienne kręgi, z nadzieją, że uda mi się je gdzieś wystawić. Dopiero przy tej skali powiększenia, na zdjęciach kręgów zaczyna się pojawiać coś, co z pewnością, jest z tego świata, ale niekoniecznie z tego wymiaru.

– Wiedziałem, że parę osób to czyta, ale nie sądziłem, że to może być dla kogoś punktem odniesienia.

– W naszej rozmowie punktem odniesienia jest wszystko to, co składa się na twoje przemyślenia, na twoją refleksję okołofotograficzną. A takie właśnie są zapisy z twojego bloga – czyli interesujące. Przy okazji sporo mówią o autorze tych słów, czyli o tobie. A skoro już mamy kawałek ciebie na żywo, to powiedz jeszcze, gdzie dzisiaj widzisz siebie i swoje zdjęcia na mapie współczesnej polskiej fotografii?

– Jeżeli gdziekolwiek miałbym siebie sytuować, to raczej obok fotografów, których znam, cenię i od których czerpię, jeżeli nawet nie inspiracje, to chociaż przyjemność obcowania z ich sztuką fotograficzną. Ja na przykład nie robię portretów, nie fotografuję mody, ale znam kilku takich artystów z tego obszaru, których zdjęcia lubię i cenię. Na ich przykładzie ćwiczę swój smak fotograficzny. Bywają jednak przyjaźnie i fascynacje fotograficzne, które przekładają się na moje myślenie o fotografii. I tu od razu przychodzi mi na myśl Eryk Zjeżdżałka i Piotr Chojnacki. Każdy z nich inspiruje mnie inaczej, ale dokładnie mogę powiedzieć, co u każdego z tych artystów jest mi najbliższe.

– A co cię inspiruje poza tym?

– Nieustannie otwieram się na nowe bodźce, mogą to być zdjęcia Svena Nykvista w filmach Bergmana, czeski film czy współczesna architektura postmodernistyczna. To jest dzisiaj dla mnie najważniejsza chyba dziedzina sztuki współczesnej. Tak więc bardziej niż fotografia, inspiruje mnie architektura. Nawet na swoim blogu, czasami, więcej piszę o architekturze niż o fotografii.

– Ta fascynacja architekturą może w przyszłości rozwinąć się w coś, co byłoby na przykład cyklem zdjęć?

– Nie wiem. Gdyby tak miało być, to musiałbym na dłużej wyjechać z Wągrowca, bo te wszystkie interesujące mnie obiekty i budynki znaleźć można niemal wyłącznie w dużych i bardzo dużych miastach. Na pewno chciałbym fotografować wielkie miasta Azji i Nowy Jork.

– Do tego potrzebna jest chyba kamera wielkoformatowa. Masz dostęp do takowej?

– W tej chwili nie, ale gdyby okazało się, że mój projekt jest bliski realizacji, to na pewno pomyślę i o właściwym sprzęcie. W tej chwili przechodzę-wracam powoli do średniego formatu. Przez wiele lat nie był mi potrzebny, ale widzę, że to może pozytywnie wpłynąć na kolejne fotografie do cyklu „Parki i ogrody”. Na razie kupiłem przez Internet prostą kamerę średnioformatową, mieszkową 6x6, bez dalmierza, i właśnie czekam na listonosza z przesyłką. Jeżeli okaże się, że taka kamera poprawi jakość obrazu, to zastanowię się nad kupnem czegoś bardziej zaawansowanego technicznie.

– Jak z tego widać jesteś człowiekiem, który ciągle coś planuje w związku z fotografią.

– I dlatego nie boję się emerytury, gdy mnie już ona osiągnie za jakieś piętnaście lat. Mam co robić do końca życia. A czy droga, którą zmierzam ku nieznannej mi przyszłości, okaże się drogą właściwą, będzie jasne dopiero ostatniego dnia.



Zdjęcie z cyklu: Parki i ogrody II. Poznań, Cytadela 2010 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

– Na tej drodze, którą zmierzasz ku nieznannej przyszłości, w niezbyt odległej przeszłości pojawiła się fotografia otworkowa. Co cię pchnęło w stronę pinholi?

– Najpierw zafascynowało mnie w fotografii otworkowej bezpośrednie dotknięcie materii fotograficznej, zainteresował mnie fenomen przedmiotu zdjęcia i światła rzutującego obraz bez pośredników, jakimi są obiektywy, migawki, przesłony, lustra. A więc zachwyty nad genialnością zjawiska i prostotą „urządzenia”, jakim jest camera obscura. Po latach własnych prób i doświadczeń na tyle opanowałem to zagadnienie, że dzisiaj potrafię zrobić kamerę otworkową w kilka minut z byle czego. Mam też w głowie tak rozpracowane tabele czasu naświetlania i średnicy otworka, że osiągam powtarzalność wyniku jak w normalnej fotografii.

– W tym momencie odpada, przynajmniej u Ciebie, element romantycznej niepewności.

– No właśnie. Pamiętam, że gdy zaczynałem próby z pinholami, najbardziej interesowała mnie owa nieprzewidywalność, a dzisiaj, skoro doszedłem do graniczącej z pewnością przewidywalności, skoro zaczęło mi wychodzić na zdjęciu to, co chciałem, rozumiałem, że właśnie doszedłem do ściany. Pora zacząć szukać czegoś innego. Dlatego też swoją przygodę z otworkami podsumowałem „Czasem zatrzymanym”, to jest cyklem zdjęć otworkowych, które można obejrzeć na mojej stronie w Internecie – <http://photodocument.republika.pl/> – i na jakiś czas przestałem się tym zajmować.

– Zdarza ci się jednak prowadzić warsztaty fotografii otworkowej. Jakiego typu jest to doświadczenie, gdy widzisz dorosłych ludzi zadziwionych magią fenome- nu światła i obrazu?

– Najlepiej jest to pokazać na przykładzie grupy dzieci. A dlatego lepiej, ponieważ dzieci są otwarte, szczerze, reagują entuzjastycznie i przede wszystkim nie udają, że coś

je zachwyca albo, że nie zachwyca. Takie właśnie dziecięce warsztaty fotografii otworkowej robiliśmy jakiś czas temu w Tucznie koło Wałcza, gdzie bardzo aktywnie działa Lidia Beata Barej, miejscowa artystka-fotograf. Dzięki niej spora grupa dzieci gimnazjalnych przeszła coś w rodzaju castingu artystycznego, a te najbardziej zainteresowane sztuką i utalentowane stworzyły grupę warsztatową. Zajęcia polegały na tym, że pokazałem, jak robi się kamerę otworkową z pudełka po butach, a potem każde dziecko własnoręcznie taką kamerę wykonało. Pierwsze zrobione w tych kamerach zdjęcia zazwyczaj wychodzą nienajlepiej, ale potem, po korekcie, gdy zaczęły pojawiać się zdjęcia bardzo przyzwoite, miałem kłopot z zapanowaniem nad emocjami tych dzieciaków. Siedziałem w ciemni i doglądałem procesu mokrego w kilku kuwetach jednocześnie, a za drzwiami była długa kolejka. Wszyscy chcieli jak najszybciej wywołać swoje zdjęcia, żeby poznać efekt i natychmiast robić kolejne fotografie.

– To są ćwiczenia, w których efekty uwidaczniają się szybko, w ciągu kilku minut, bo jest to oparte na technologii „speed”. Ale już pinhole realizowane w ramach solarigrafii na warsztaty raczej się nie nadają. No, chyba, że załadowane puszki wieszamy w czerwcu jednego roku, a zdejmujemy z tym samym zespołem w czerwcu roku następnego.

– Faktem jest, że fotografia otworkowa daje kilka różnych możliwości. Solarigrafia na przykład jest łatwa i efektywna, bo tego nie trzeba wywoływać, ale czasy ekspozycji są bardzo długie. To wymaga, niestety cierpliwości, na którą w przypadku dzieci liczyć raczej nie można, choć nie jest to regułą.

– A jak z tą cierpliwością jest u Ciebie?

– Ja mam załadowanych kilka puszek do solarigrafii, ale nie mam ich gdzie postawić. A wymogi są bardzo konkretne – puszka musi być stabilna, bez względu na warunki pogodowe, musi być skierowana na południe, albo w niebo.



Wągrowiec 2008 (pinhole, fotografia żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym, skan z oryginału).

Musi być zabezpieczona przed wilgocią i nie może przyciągać wzroku wandalii albo – z drugiej strony – straży miejskiej lub policji, która mogłaby taką puszkę potraktować jak potencjalne zagrożenie terrorystyczne, czyli bombę domowej produkcji. Jakiś rok temu, podejrzanym o terroryzm został wiceburmistrz warszawskiego Śródmieścia, zapalony otworkowiec. Zamontował on na latarni pudełko od butów, które służyło mu za kamerę obsecure. Nie minęło wiele minut kiedy otoczony został przez trzy załogi policyjnych radiowozów, które zaczęły go sprawdzać. Ja miałem podobną sytuację w Wągrowcu, ale na szczęście zanim ludzie zadzwonili na policję, ktoś im wytłumaczył, że to są moje kamery otworkowe.

– W każdym razie masz za sobą udane eksperymenty z pinholami, a interesujące niewątpliwie efekty tych doświadczeń widać na twojej stronie internetowej. Można więc powiedzieć, że zrobiłeś w ramach pinholi wszystko, co było możliwe?

– Nie można, bo na przykład „Świetlica” Bogusia Biegowskiego poszła z kamerą otworkową w inną jeszcze stronę.

– Utrzymujesz stałe kontakty ze „Świetlicą”?

– My się bardzo przyjaźnimy. Jakiś czas temu, kiedy „Świetlica” wyszła z podziemia, pomogłem im zorganizować w Wągrowcu weekendowy plener fotograficzny pod nazwą „Plener Obscur Tour”, któremu towarzyszyła akcja na Rynku. Konkrety do obejrzenia na mojej stronie. W każdym razie należy pamiętać, że oni z fotografią otworkową poszli w inną niż ja stronę. Oni robią ją w wielkości naturalnej stosując pinhole, chcą osiągnąć efekty fotografii obiektywowej. Chcą – jak sądzę – osiągnąć doskonałość, którą uzyskuje się bez trudu w normalnym aparacie fotograficznym. Może tym samym utrudniają sobie niepotrzebnie sprawę, może te eksperymenty niewiele wnoszą nowego do fotografii otworkowej, ale na pewno członkowie „Świetlicy” realizują w ten sposób swój projekt z zapałem i godną podziwu konsekwencją. Jeżeli jedno

zdjęcie dużego formatu naświetlają dwie, trzy godziny, a w tym czasie, rozmawiają, piją herbatę i zaprzyjaźniają się z otoczeniem, to ma to z całą pewnością bardzo pozytywny wymiar towarzyski. Jednym słowem – prawdziwa świetlica, z wszystkimi pozytywnymi skojarzeniami, jakie to słowo ze sobą niesie.

– W każdym razie uczestnicy tych działań nie nudzą się, nie robią nic złego, a przy okazji realizują bardzo konkretną przygodę fotograficzną. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę fakt, że fotografią otworkową zaczęto w przeszłości stosować głównie w celach utilitarnych a nie estetycznych, to rodzi się pytanie, czy dzisiejsze pinhole, traktowane jako rodzaj sztuki fotograficznej, mają sens artystyczny?

– Myślę, że tak, z tego choćby powodu, że świat zapisywany obrazem fotografii otworkowej wygląda jednak nieco inaczej niż na tradycyjnej fotografii obiektywowej (w tle słycać pukanie do drzwi pracowni) !?!. O, pan listonosz.

– W tym memencie następuje mała przerwa w naszej rozmowie, ponieważ właśnie wszedł pan listonosz i przyniósł niewielką paczkę, w której znajduje się... co? Uwaga, rozpakowujemy, znajduje się, zawinięty w folię bombelkową, średnioformatowy, mieszkowy aparat fotograficzny niemieckiej produkcji z lat 40. lub 50. XX wieku, o nazwie Precisa Beier.

– Ten piękny zabytkowy aparat, który kupiłem na Allegro za 130 złotych, posłuży mi do pierwszych prób ze średnim formatem. Można nim robić zdjęcia formatu 6x6 i 4,5x6, dzięki temu na jednym filmie mam więcej klatek. Pomysł z tym aparatem wziął się z tego, że – widząc wszędzie pełno śniegu – postanowiłem fotografować pejzaż zimowy. A na wiosnę, jak się uda, gdzieś dalej, a także do realizacji rozpoczętych wcześniej projektów. Ma on, ten aparat, jak widać, dość duży zakres przesłony, dość jasny obiektyw, bo od trzy i pół, oraz migawkę od sekundy do 250 i B.



Solarigrafia. Wągrowiec od 12.11.2008 r. do 16.01.2009 r. (solarigrafia, skan z oryginału).

– Bardzo ładna kamera. Sprawdziliśmy – działa, trzeba ją tylko wyczyścić i załadować filmem 120. Takie filmy są do kupienia w sklepach?

– Tradycyjnych sklepów fotograficznych z materiałami i filmami czarno-białymi jest już niewiele. Przeniosły się do Internetu. Mamy tam wybór materiałów o jakich mogliśmy tylko pomarzyć 20-30 lat temu. Jak czegoś tam nie ma, to z pewnością znaleźć można to coś na Allegro. Dotyczy to także filmów.

– Które to filmy wchodzi, rzecz jasna, do tradycyjnego, polskiego koreksu.

– Oczywiście. A skoro już mowa o koreksach, to chciałem się pochwalić, że używam stary, 30-letni koreks, wyprodukowany przez niemiecką firmę Jobo. Łatwo zauważyć różnicę między szpulką polskiego Krokusa, a szpulką od Jobo. Ta różnica przekłada się na ekonomię. Ponieważ Jobo ma mniejszą średnicę, to zużywa się o jedną trzecią mniej płynu. I jeszcze pewien drobiazg – szpule od Krokusa po kilku użyciach są do wyrzucenia, a moje szpulki od Jobo mają 30 lat i ciągle działają jak trzeba.

– Wróćmy na moment do aparatu, który przed chwilą przyniósł pan listonosz. Masz wobec niego jakieś poważne plany, poza zimowym pejzażem?

– Ten aparat jest częścią zbioru tego typu aparatów, które właśnie zacząłem gromadzić i wykorzystywać. Zaczniemy od tego, że przez wiele lat uprawiając tak zwaną fotografię uliczną, doszedłem w końcu do wniosku, że najlepiej sprawdza się w tym działaniu niewielki aparat małoobrazkowy, który nie rzuca się w oczy, a jest niezawodny, jak ta analogowa, kompaktowa Minolta Hi-Matic GF, którą kupiłem za 30 złotych. Ta sama wiedza wyniesiona z fotografii ulicznej stała się dla mnie impulsem do refleksji, że dobrych zdjęć krajobrazu małym formatem zrobić w zasadzie się nie da. Nie mówiąc już o architekturze. Ten aparat, który jest w moich rękach od kilkunastu zaledwie minut,

ma obiektyw 75 mm, a chcę dokupić jeszcze jeden taki sam aparat, ale z obiektywem 105 mm, żeby pracować jednocześnie dwoma kamerami o zbliżonych parametrach. To daje pewien komfort fotografowania, bo nie muszę wreszcie manipulować przy sprężycie i stale wymieniać obiektów.

– Ponieważ nasza rozmowa zbliża się do końca, spróbuj powiedzieć światu i potencjalnym czytelnikom, po co właściwie fotografujesz?

– Dokładnie tego nie wiem, ale po głowie chodzą mi skojarzenia, które dotyczą poszukiwania prawdy absolutnej, boskiego elementu materii i światła, a nawet mocy sprawczej tego wszystkiego, co zwiemy fotografowaniem. Jestem ciekaw, jak ten świat się kręci, jak to nasze życie jest zorganizowane, kto pociąga za sznurki? I myślę niekiedy, że może da się to kiedyś sfotografować. Nie zdziwiłbym się, gdyby po latach okazało się, że otarłem się o rozwiązanie tych tajemnic, a wszystko zostało zapisane na moich zdjęciach. Trzeba je tylko właściwie zinterpretować, rozkodować ukryte w nich komunikaty wysyłane z tamtej strony do naszej rzeczywistości.

– Jest jeszcze egzystencjalny wymiar twojej działalności fotograficznej. Czy fotografia zatem organizuje ci życie? A może ona je dezorganizuje?

– Na pewno nie wyobrażam sobie swojego życia bez fotografii. Wyobrażam sobie życie bez telewizji, bez samochodu, bez używek, ale aparat fotograficzny jest mi nieodzowny. Skoro padło już tutaj słowo „używki”, to chyba warto podkreślić fakt (taka jest moja w tej kwestii opinia), że wszelkie „zmiennacze świadomości” bardzo szkodzą fotografom i samej fotografii. Zawsze zadziwiam się nad niedojrzałością młodych pasjonatów fotografowania, którzy twierdzą, że dobrze im się robi zdjęcia dopiero po czterech piwach. Biorą więc kolejną flaszkę do torby i idą w miasto. A nie wpadnie im do głowy, że w stanie euforii alkoholowej najłatwiej niszczy się sprzęt, gubi się zaślepki i filtry, a także robi się masę niepotrzebnych zdjęć, które nie mają żadnej



Z cyklu: Moc kamieni. Grzybnica 2005 (odbitka barytowa, zeskanowana i przetworzona komputerowo).

niemal wartości. Po takiej sesji zostaje najczęściej kac i złudzenie odkrywczych kadrów, które następnego dnia okazują się oczywistością i banałem. Ten umoralniający akapit bierze się nie z jakiejś tam maniackiej potrzeby tępienia używek w ogóle, ale z tego, że od lat jako instruktor pracuję z młodymi ludźmi, którzy, dorastając, próbują wchodzić do świata fotografii także przez furtkę używek. A to jest tak naprawdę droga donikąd.

– Gdyby z jakiegokolwiek powodu zabrano ci możliwość uprawiania fotografii, to czym ewentualnie mógłbyś wypełnić tę pustą przestrzeń, która została po fotografii?

– W moim życiu zawsze tak było, że gdy jedne drzwi się przede mną zamykały, to wówczas otwierałem następne. Może mógłby to być film – animowany albo dokumentalny. Mam już za sobą tego typu doświadczenia związane z festiwałem „5 minut z życia...”, więc wiem, że to w moim przypadku działa zupełnie dobrze. To się zaczęło w 2004 roku i ma ścisły związek z Wągrowcem i tym Domem Kultury. Wymyśliła to moja ówczesna pani dyrektor, która widziała w telewizji taki program, w którym jedni ludzie pokazywali nakręcone przez siebie gagi, a inni to oceniali. Filmik, który zwyciężał w danej edycji, dostawał jakąś sporą nagrodę finansową. Tak powstał na naszym gruncie ogólnopolski festiwal krótkich filmów video. Na pierwszą edycję festiwalu przysłano 40 filmów, których długość regulaminowo była ograniczona do pięciu minut. W okolicach piątej edycji doszliśmy do wniosku, że trzeba materię filmową naszego festiwalu jakoś uściślić tematycznie. I tak powstał temat wiodący, czyli „5 minut z życia codziennego”. Wtedy pojawiły się – obok banałów o banalnej rzeczywistości lub relacji z imieniem u cioci – pierwsze ambitne produkcje, pogłębione tematycznie, z dozą refleksji, a także zaawansowane formalnie. Zdarzały się nawet filmy wybitne. A poziom całego festiwalu podniósł się ponownie wtedy, kiedy zrezygnowaliśmy z ograniczeń nakładanych na studentów szkół artystycznych. Nadal wyłączane są z tego festiwalu filmy przyrodnicze i teledyski. Dopuszczamy natomiast

animacje, bo animacja, jak wiadomo, może dotyczyć życia codziennego. W tym roku zwyciężył świetny śląski dokument Henryka Latuska. A dwa lata temu połączyliśmy ten festiwal z kilkudniowymi warsztatami filmowymi, na które zjechali młodzi filmowcy z całej Polski. Ostatniego dnia warsztatów nastąpił publiczny pokaz gotowych, zmontowanych filmów, które powstały podczas tych warsztatów. I to było naprawdę wielkie przeżycie.

– Gdy oglądasz takie filmy pięciominutowe, to nie żal ci, że ty – maniak filmowy – sam ich nie kręcisz?

– Owszem, żal mi, bo ja przez całe swoje życie jestem niespełnionym filmowcem. Kamerę cyfrową już mam, ale niewiele jeszcze nią nakręciłem. Mam z tym pewien problem, ponieważ wiem, że można to robić albo po amatorsku, albo profesjonalnie. Ale do profesjonalnego myślenia o filmie potrzebny jest profesjonalny scenariusz, dzięki któremu kręcisz całość scena po scenie, bez późniejszego montażu. A w wersji amatorskiej kręcisz film dosyć żywiołowo, ale potem mnóstwo czasu musisz poświęcić na sprawy montażu, żeby nie wypuszczać w świat gniota.

– Czy fotografia kiedykolwiek ci w czymkolwiek pomogła, albo może jakoś ci zaszkodziła?

– Pod koniec lat 80. jeździłem na festiwale rockowe do Jarocina, gdzie zrobiłem sporo zupełnie przyzwoitych zdjęć, z których też pewnie dzisiaj można by ułożyć niezłą wystawę. W każdym razie, zainfekowany fotograficznie klimatem Jarocina fotografowałem w Wągrowcu dużą imprezę rockową „Eko-czad”. Zrobiłem wtedy zdjęcie chłopaka z irokezem na głowie. Później okazało się, że ktoś go na tym zdjęciu rozpoznał jako sprawcę przestępstwa. A rozpoznano go, bo to zdjęcie ukazało się w miejscowej gazecie. Wtedy, pamiętam, policja ciągała mnie na przesłuchania, żebym powiedział, kto to jest. A przecież dla mnie był to anonimowy uczestnik dużej imprezy rockowej, więc nie mogłem policji pomóc w żaden sposób, ale przyjemne to nie było. W sumie jest to raczej anegdota niż poważny problem.



Z cyklu: Moc kamieni. Grzybnica 2005 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

Inna nieprzyjemna historia wydarzyła się zupełnie niedawno. W roku 2008 zrobiłem nostalgiczny slajdeshow złożony z ulicznych zdjęć Lwowa. Wrzuciłem go do YouTube'a, żeby był podpięty pod moją stronę. Wisiał tam spokojnie ponad rok, kiedy to nagle wygrzebał go jakiś nasz nacjonalista. Link z dojściem do tego pokazu powysyłał innym ukraińcożercom. W efekcie ostro zareagowali Ukraińcy i Rosjanie. Rozpętała się fala niewybrednych komentarzy. Słowem wojna polsko-ukraińska w sieci. Niestety, poziom dyskusji był żenujący. Z początku próbowałem im tłumaczyć, że moje intencje są zupełnie inne, ale na niewiele się to zdało, bo komentarze stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. W końcu za namową małżonki zamknąłem dyskusję usuwając materiał z serwera. Ale wrażenie niesmaku pozostało. Natomiast w kategoriach problemu rozpatrywałbym swoją aktywność fotografa dokumentalisty, kiedy pod koniec lat 80. rozpocząłem pracę w Domu Kultury. Zaniedbywałem wtedy rodzinę, bo wydawało mi się, że nieustające dokumentowanie wszelakich imprez kulturalnych (i nie tylko – w myśl zasady, że „każde pierdnięcie musi mieć zdjęcie”) może się kiedyś do czegoś przydać. A gdy okazało się, że był to trud daremny, straconych lat oddać już rodzinie nie mogłem. Tamten czas minął bowiem bezpowrotnie. Pracując w Domu Kultury myślałem, że wypełniam jakąś ważną misję swojego życia, bo byłem naiwnym idealistą. Dzisiaj wiem, że jest to praca jak każda inna, w miarę potrzebna, w miarę przydatna i w miarę sensowna, ale tylko z punktu widzenia innych wartości, na przykład tych, które dotyczą rodziny.

– A zdarzyło ci się kiedyś, że w momencie naciskania spustu migawki odczułeś kontakt metafizyczny z tajemnicą, prawdą lub czymś dla ciebie ważnym a nienazwanym.

– Mnie się to zdarzało dopiero w ciemni, kiedy robiłem powiększenia kamiennych kręgów. Tam rzeczywiście działo się coś ważnego, co kazało mi spojrzeć na te zdjęcia z pozycji kogoś, przed kim uchylono rąbka tajemnicy. Te kręgi fotografowałem wyłącznie analogowo na negatywie oraz

równolegle na slajdach, które chciałem w przyszłości wykorzystać podczas wystawy, czyli pokazać je publiczności wernisażowej. Gdzie to będzie, jeszcze nie wiem, ale rozmowy trwają, zwłaszcza, że wystawa zdjęć kamiennych kręgów musi kosztować, bo one, te kręgi, zasługują zdecydowanie na raczej duże formaty.

© K. Sz.

© L. Sz.



Z cyklu: Moc kamieni. Odry 2010 (odbitka żelatynowo-srebrowa na papierze barytowym).

Lech Szymanowski – urodzony w 1958 r. w Poznaniu. Fotograf niezależny, samouk, rejestrator życia prowincji, wyznawca minimalizmu w sztuce. Od wielu lat mieszka, pracuje i fotografuje w Wągrowcu. Prowincja długo była głównym tematem jego prac. Starał się jedynie rejestrować otaczającą go rzeczywistość. Bez upiększania, estetyzowania, przetwarzania. Obiektywy swoich aparatów kieruje najczęściej na krajobraz kulturowy, czyli przetworzony przez człowieka, mocno związany z jego działalnością. Efektem tych działań są często obrazy z przeszłości zapewne istniejącej już tylko na zdjęciach.



Pierwsze poprawne zdjęcia wykonał w 1979 roku Zenitem E. W 1981 r. powstała jego pierwsza dokumentacja (strajk studentów UAM). Używa głównie tradycyjnych, srebrnych technik fotograficznych, ale nie stroni od aparatów cyfrowych, które służą mu za fotonotatnik. Na swoim terenie stara się popularyzować fotografię, a fotografię otworkową (pinhole) w szczególności. Jest pomysłodawcą i organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego „Moja Europa” oraz licznych działań edukacyjnych i popularyzatorskich. Stąd też: Photo Club Blowup-Powiększenie, wystawy fotograficzne w Galerii MDK, warsztaty fotograficzne, Spotkania z Fotografią, Mała Akademia Fotografii, kursy fotografii cyfrowej w MDK w Wągrowcu, a także Festiwal Filmów Niezależnych „5 minut z życia codziennego”, warsztaty dla filmowców amatorów.

Ważniejsze wystawy, projekty i realizacje:

1992: „Fotografia teatralna”, pierwsza wystawa indywidualna, Wągrowiec.
 2000: pierwsza wystawa klubowa „Z biurka”, Gołańcz.
 2003–2007: ogólnopolski konkurs fotograficzny „Moja Europa” oraz warsztaty fotograficzne.
 2004: „Zwyczajne zdjęcia”, wystawa autorska, Wągrowiec, Skoki.
 2004: pierwsza edycja Festiwalu Filmów Niezależnych „5 minut z życia”; w roku 2011 planowana jest ósma edycja.
 2004–2010: projekt „Wapno”.
 2004–2010: projekt „Żywy kult”, w 2004 r. II nagroda w konkursie Moja Wielkopolska.
 2005, maj: organizacja wystawy „Mieszkańcy powiatu wągrowieckiego na starej fotografii do roku 1970”.
 2005, czerwiec: organizacja i aranżacja wystawy „Pamiętki Solidarności”.
 Udział w wielu wystawach i konkursach fotograficznych, w tym w I i II OFFO (2005 i 2007, indywidualnie i z klubem Blowup-Powiększenie).
 2005: „Pomniki techniki”, nagroda w konkursie „Polityki” za wystaw „Wapno”.

2005–2011: „Moc kamieni” – kamienne kręgi na Pomorzu (do tej pory Grzybnica, Odry i Leśno, w 2011 r. Węsiory i inne).
 2006: „Miejsca i ludzie”, wystawa autorska.
 2006: „Tryptyk prowincjonalny” – prezentacje multimedialne (premiera 3 czerwca).
 2008: Solarigrafie; Wielkopolska jest płaska i symetryczna; Lwów-Drohobycz; nagroda specjalna w konkursie „Budowa” (Oborniki Śląskie).
 2009: „Parki i ogrody”, I nagroda w konkursie Moja Wielkopolska; „Czas zapisany” – prezentacja multimedialna; plener „Obscure Tour” w Wągrowcu, wraz z kolektywem fotograficznym „Świetlica”.
 2010: „Seniorzy”, II nagroda w konkursie Moja Wielkopolska.
 2010–2012: cykl działań popularyzujących fotografię w ramach Małej Akademii Fotografii.

<http://photodocument.republika.pl/>

<http://pinholeandphotodocument.blogspot.com/>

e-mail: lech.szymanowski@wp.pl

Zdjęcie na okładce: Wągrowiec 2003 (odbitka żelatynowo-srebrna na papierze barytowym).



Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski

Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski to rozmowy Krzysztofa Szymoniaka z działającymi w naszym województwie interesującymi przedstawicielami świata fotograficznego, których aktywność często jest nieznana, bądź znana, ale tylko w ograniczonym zakresie. Publikacje mają w przystępnej formie udostępnić szerszej publiczności ich dorobek, pozwolić poznać ich myśl teoretyczną, a poza tym stanowić przyczynek do dalszych badań nad rozwojem ruchu fotograficznego w Wielkopolsce.

Krzysztof Szymoniak jest fotografującym dziennikarzem, nauczycielem akademickim i poetą związanym z Kępem, Gniezmem i Poznaniem.

Dotychczas ukazały się:

- Waldemar Śliwczyński: **Obrazy z przypomnienia;**
- Paweł Kosicki: **Jestem z miasta;**
- Maciej Frankowski: **Nie sprzedaje się duszy;**
- Piotr Chojnacki: **Aura i sacrum;**
- Bogusław Biegowski: **Moje nie-miejsca;**
- Robert Andre: **Ubieranie w światło;**
- Stefan Wojnecki: **Zmienia się oblicze świata;**
- Jerzy Mianowski: **Spełniam się każdego dnia;**
- Wojciech Beszterda: **Wyprawa za horyzont;**
- Monika Pogorzelec i Bartłomiej Król: **Na rozdrożu;**
- Mariusz Forecki: **Mówię językiem obrazu.**

Koordynator projektu: Władysław Nielipiński.

Redaktor techniczny: Paweł Henski.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury

60-819 Poznań, ul. Prusa 3

tel. 0-61 6640867

foto@wbp.poznan.pl

www.wbp.poznan.pl

ISBN: 978-83-60746-97-4